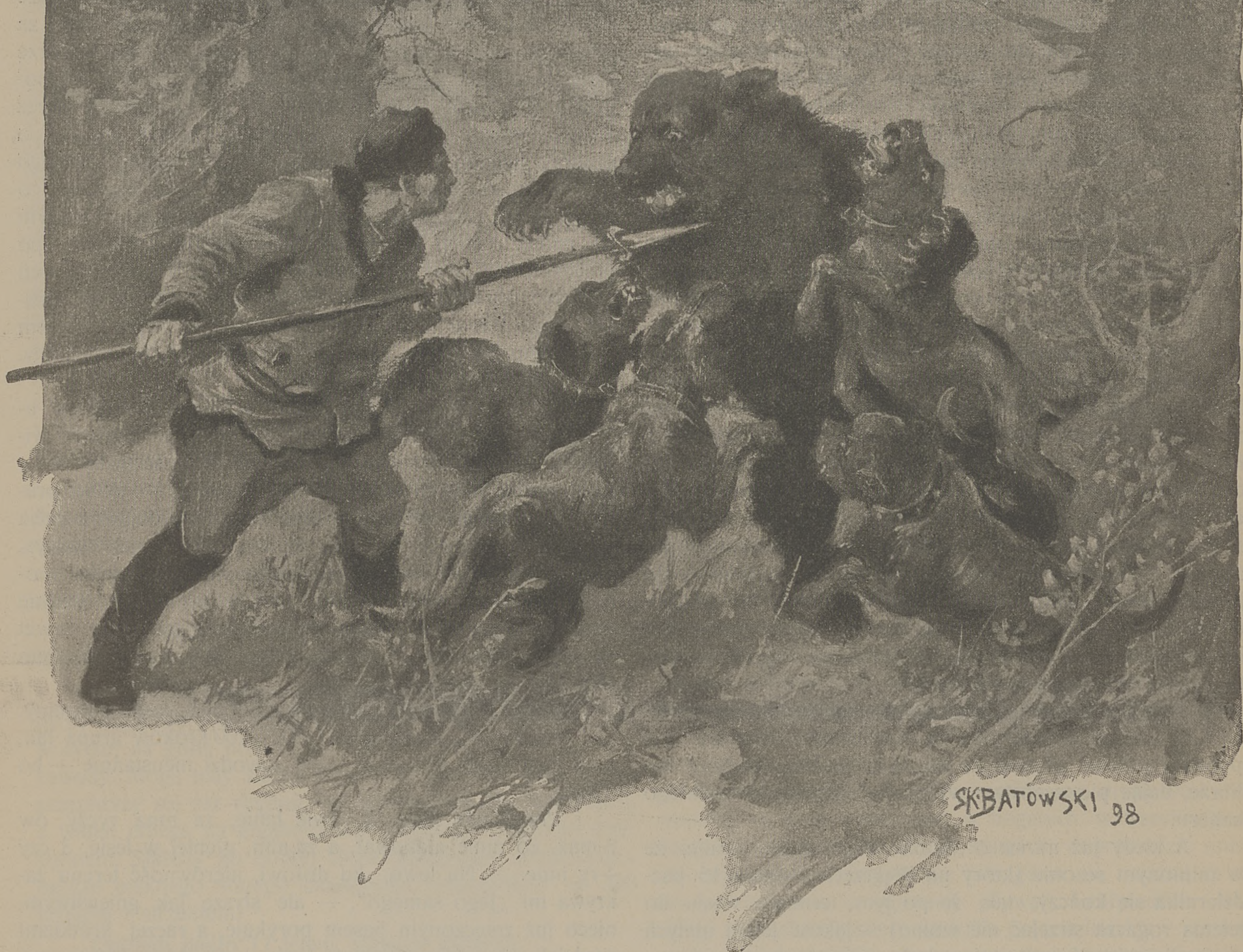
Nr. 21. Lwów, 1. listopada 1904. Rok XXVII.



Wkładka roczna członka 10 koron = 10 marek = 5 rubli.

ORGAN GAL. TOWARZYSTWA ŁOWIECKIEGO.

Wychodzi 1. i 16. każdego miesiąca.

Na rykowisku w Perehińsku.

W Perehińsku było w tym roku — jak inaczej być nie mogło — t. j. wspaniale. Korzystając z królewskiej J. E. Księdza Metropolity gościnności, ruszyliśmy 30. września ze Lwowa. Niestety, zdrowie nie pozwoliło wziąć udziału w tej wyprawie najmilszemu gospodarza zastępcy, hr. Kazimierzowi Szeptyckiemu — a hr. Stanisław, wraz z generałem Kuropatkinem, w Mandżuryi, na innego poluje zwierza.

Z początku tedy smutni, — pomału, ogarnięci słońca i gór przepychem, zajechaliśmy śpiewający, acz nieco rozdrutowani, do Podlutego. 1-go października rano wymarsz w góry: na Jayko, Malij, Płyśce i pod Korytwennę. Rykowisko jeszcze w pełni. Już jednak 4-go b. m. pogoda na dobre się popsuła. Mgły, wichry i deszcz zgłuszyły ryk jeleni. — Starsze byki, o ile one w ogóle ryczą — już tylko pomrukiwały, każdy z nich miał już liczny harem w około siebie — zato młodsza brać jelenia mimo niepogody i wycia coraz tu częstszych wilków, przygrywała aż do 8-go października, kniejom na chwałę — rodowi swemu na pomnożenie.

Powiedział ktoś, że przeciętny minister austryacki póty jest coś wart, póki nic z resoru swego nie rozumie, skoro bowiem pocznie przenikać tajniki biurokratycznej maszyny — widzi drzewa, lecz las z oczu traci.

Uważam, żem w kwestyi jeleniej do ministra podobny.

Studyując i przypatrując się z bliska sprawie utrzymania na wysokości dotychczasowej, rodu jeleni karpackich, coraz mniej jasno w niej widzę, coraz więcej mam wątpliwości, co czynić by wypadało, by ród ten nie malał, by go w dawnej wspaniałości i potędze utrzymać.

To tylko dla mnie pewnikiem, że dekadentyzm i w góry nasze przenikać poczyna — że teraz częściej i tam się spotyka acz wiekiem młode, jednak fizycznie przemęczone osobniki, że coraz rzadszym bywa i tam, czerstwy, jędrny, pełen sił i wielkości, żrały chłop — jeień; — że smarkacze — jelenie porykują jak stare i wodzą jak one, całe haremy ze sobą; — że myśliwi przywożą jako trofea rogi, których jeszcze niedawno wstydziliby się pokazać, a rogi te oznaczają nie wydług z góry obmyślonogo systemu odstrzelone liche jelenie — tylko ofiary tego, co Niemcy „Aasjägerei“ nazywają; — i dalej, że te chmary strzelców ciągnących „na jelenie“, jakie się w czasie rykowiska na naszych kolejach widuje, grożą zupełnem, „spopularyzowaniem“ nie tylko temu najwyższemu łowiectwu, ale i jakości jelenia! To spopularyzowanie uważam wprost za niebezpieczeństwo: obniży ono nie tylko jakość naszego karpackiego jelenia, ale i jakość myśliwych, co się doń strzelać zabierają. — Dziś powracającego z gór myśliwego nie pytają czy i jak zabił — ale ile zabił; dziś strzelić do jelenia, nie jest uważanem za szczęście i zaszczyt, ani p o s t r z e l i ć jelenia za dyshonor, który prawo do brania broni w rękę na lata odbierać powinien. Dziś już widzi mi się, przy uważaniu dalekonośnych a nader skomplikowanych maszyn do strzelania, ubicie jelenia przestaje być całą epopeą myśliwską — a staje się raczej produkcyą, czy konkursem rozmaitych firm zagranicznych rusznikarskich, których zalety, P. T. strzelcy za swoją zasługę poczytują. — Myśliwy zamiast opowiadać, ile on kroków za jeleniem zrobił, jakich forteli i sztuk używał, by go podejść, by go użyć, by go poznać, by właśnie tego a nie innego strzelić — opowiada, na ile tysięcy metrów z maszyny do zabijania go uśmiercił.

Tu niech mi wolno będzie zanotować, że znakomici myśliwi po stronie węgierskiej, jak np. baron Schönberg, nie pozwalają wcale strzelać do jelenia z broni o drobnym kalibrze, dając piewszeństwo wyłącznie ekspresowi zwykłego kalibru.

A kiedy już mowa o stronie węgierskiej, notuję, że w minionym sezonie (który na Węgrzech z dniem 15. października się kończy, tak, że po tym terminie wcale do jelenia rogacza strzelać nie wolno) — jakość jeleni ubitych na węgierskim Karpat stoku, była nieporównanie od zeszłorocznych gorszą, tak że na dorocznej wystawie w Peszcie, jelenie naddunajskie, karpackie zupełnie zakasowały. Po naszej stronie padło zato kilka wyjątkowo pięknych egzemplarzy. Powodem, zdaniem węgierskich myśliwych, susza wskutek której jelenie szukać musiały żerowisk na północnych stokach, a te które stanowisk nie zmieniły, skutkiem braku paszy, bardzo liche rogi osadziły. Co prawda i u nas spotkaliśmy ogromne, stare jelenie, z nieproporcyonalnie słabymi rogami.

Po tej dygressyi powracam do serdecznie już ukochanych gór Perehińskich.

Nie śmiem opowiadać szczegółów, bo zebrał się ich znowu bezmiar; opisać wszystkie rzecz ponętna, ale niemożebna. Niech jednak wolno mi będzie kilka słów poświęcić pamięci tych chwil błogich, podniosłych, choś znojem czoła obficie zroszonych.

Podchodząc ku kolibie między Owołem a Korytwenną położonej, zaraz dnia pierwszego, dobroczynnych górskich duchów hojną ręką wiedziony, hen na szczycie „pańskiego Grunia“ przeżyłem wśród jeleniego turnieju, kilka owych chwil, co na resztę życia myśliwemu życiodajnym kordyałem pozostają.

Po przeszło 3 godzinnem drapaniu pod stromą jak piec górę, wśród przepięknego starodrzewia, niebotycznych buków, od wichrów pokręconych jaworów i mchem brodatych świerków, po godzinnem pełzaniu pomiędzy przysadkowatymi jałowcami, karłowatymi świerkami, krzaczystą olchą i miejscami rozsiadłą nieprzebytą kosodrzewiną, — po natknięciu się trzykrotnie, na parę kroków, na młodsze jelenie, z których jeden, piękny ósmak, wziąwszy mnie za rywala do ręki jednej ze smukłych łań, co tam w górze stały, formalnie spłoszyć chciał, na kilka kroków obchodząc i zaryczając niemiłosiernie, — po puszczeniu przez zbytek emocyi a ponoś i zasapania, bardzo ciekawego grubego jelenia, o rogach grubych a bez odnóg, którego po niewczasie dopiero za t. zw. Schadhirscha uznałem, co milczkiem za ryczącymi jeleniami chodzi i niejednemu swym jak pałasz rogiem ochotę do dziewosłębów odbiera, — po przebyciu tak całej skali trudów i emocyi, i zażyciu owych jedynych obrazków, jakich zawsze pełno w otoczeniu miejsca, gdzie stanął kwaterą potężny rogacz ze swym haremem ...stanąłem nareszcie, zziajany i dymiący na krańcu polany, zdobiącej szczyt pańskiego Grunia.

Tu w bezpośredniem „Jego“ sąsiedztwie emocya ustała. Emocye miewa się przed audyencyą u ministra, wizytą u dentysty, strzałem do lisa, lub na wyścigach — słowem wobec małych oczekiwanych zdarzeń, — wobec prawdziwie grubego zwierza, wobec potężnych objawów życia przyrody — emocyi się nie miewa, bo tu już emocya, choćby była, jest tak wielką, że ma wszelkie oznaki spokoju; a zresztą, wielcy ludzie, wielkie ich dzieła, wielkie wypadki, mają to do siebie, że najlichsze otoczenie nawet ku sobie podnoszą — i mali wobec nich rosną. Rosłem więc i ja na pańskim Gruniu...

Widzę przed sobą cały szczyt i wielką część połoniny.

Na prawo, w odległości 600—700 kroków grupa łań, przy nich jeleń. Ryczy, a raczej zawodzi nieustannie — bo młody.

Przedemną pasą się dwie łanie, za mną ryczy ów 8-mak, co mnie atakował, a za nim, głębiej w lesie, 3 czy 4-ry inne. — Na lewo, ku dołowi, nierówność terenu zakrywa mi „Jego samego“, — ale słyszę jak gniewliwym, nieco już zmęczonym basem porykuje, a raczej krótkiemi gardzieli uderzeniami straszy łanie i rywalów, którzy mu istotnie spokoju nie dają. Słucham tej muzyki i patrzę, a jest istotnie patrzeć na co. W około złocą się i coraz bardziej kraśnieją niezliczone szczyty, aż hen daleko poza granicę węgierską. Góry błyszczą tym niezrównanym złotoróżanym blaskiem zachodu, doliny przesłaniają się już cieniem fioletowo-niebieskim. Nad kraśniejącemi górami, nad złocistymi szczytami buków, jaworów, nad czarną masą kniei świerkowych cudowny, ciepły, przejrzysty fiolet firmamentu, przez który oko zaczyna odgadywać już gwiazdy. I w tej krasie tonów, na tle tego przestworza gór świetlanych, dolin pomroką wieczorną przesłanych, nieba ametystowego, wśród chóru wyzywających się jeleni, widzę najpierw jedną, potem drugą, trzecią, czwartą i piątą łanię, jak z dołu ku górze poważnie kroczą. Największa ogląda się w tył, tam skąd coraz wyraźniej słychać gromkie nawoływanie „Pana“ i widocznie żal jej, że on się tak troszczy i męczy. Jeszcze chwila, słyszę coraz dokładniej ten pomruk gniewliwy, i nagle, z poza garbu, wysuwa się wolnym, miarowym kłusem sam „on“. — Łeb majestatycznie w górę zadarty, olbrzymi kark w kabłąk wygięty, a nad nim las rogów czarnych, wspaniałych, końcami świecących. Spędza łanie ku górze.

Mimowoli raz jeszcze spojrzałem dokoła, nabrałem w oczy tego czaru, jaki zachodzące słońce na ziemię rzucało, — i podziwiałem tego pysznego zwierza. Był przepiękny, prawdziwy pan placu, pięknie rozrośnięty czternastak, a raczej ściśle biorąc 16-tak.

Przez chwilę byłem jeszcze człowiekiem XX-go stulecia, chciałem admirować i tej wspaniałej harmonii nie mącić. Ale krew naddziadów z epoki kamiennej zagrała nagle w żyłach — i padł strzał.

Łanie i cielęta pędzone przez byka, szły dalej jak przedtem, słońce coraz gorętszemi barwami ziemię żegnało, owych 4 czy 5 jeleni dokoła ryczało dalej coraz namiętniej, jeno on zrozumiał, że to koniec się zbliżył. Odbił się od łani, farba nozdrzami mu buchła, i tem samem tempem co przedtem, choć śmiertelnie raniony, do ostatniego tchnienia pełen majestatu, pokłusował ku najbliższym zaroślom.

Tam stanął — i usłyszeliśmy ten dziwny, głuchy łoskot walącego się cielska i rogów o gałęzie i kamienie bijących, łoskot bądź co bądź, myśliwskie ucho tak słodko łechcący. Łanie stały o 200 kroków i słuchały strwożone, co dalej się stanie. I ja stałem i żal mi było a może i wstyd, choć miłość własna tak pogłaskana, aż szlachetną się stawała. Raz jeszcze horyzont zapłonął złotą łuną słoneczną i ametystowy mrok począł i szczyty i firmament ogarniać.

I pytałem sam siebie, dlaczego człowiek zawsze i wszędzie musi kalać i szpecić Bożą przyrodę, psuć jej wspaniałą harmonię.

Gdyśmy rogi odejmywali, zawył nam potrupiego, gdzieś opodal wilk w kniei.

Rogi wspaniałe, wagi ponad 9 kilogramów. Strzał niezły, bo na 120—130 x. w biegu, nieco wprzód komory.

Przez 6 dni następnych, tak pysznych chwil już nie było, choć były przepiękne, boć widziałem pierwszy raz w życiu, na gołej polanie walczące jelenie i to na dwa zawody. Mogę tedy skonstatować, że wyrosłe, silne jelenie zczepiwszy się raz rogami, nie opuszczają się już więcej, a walka polega na gigantycznem doprawdy parciu się wzajemnem. Słabszy po dobrej chwili odskoczył. Silniejszego, bardzo pięknego starego dziesiątaka, podszedłem na 320 kroków i strzeliłem.

Ogółem padło 17 jeleni, samych dobrych.

Lwią część, bo 7 ubił książę Witołd Czartoryski, który cudów w chodzeniu i strzelaniu dokazywał. Wszystkie 7 po jednej kuli w kark, lub komorę.

Najpiękniejszego 12-ka niezwykle silnego, choć już nie ryczał, podchodził książę przez dzień cały i dostał strzałem na przeszło 350 kroków do leżącego. Hr. Paweł Dzieduszycki i Leon Szeptycki nowicyat odprawiali w górskiem polowaniu. Pierwszy dwa, drugi pięć jeleni położył, między tem jeden przepiękny myłkus (6 i 2 odnóg) i bardzo piękny 16-tak. Dnia 7-go bm. aura wprost już niemożliwa, spędziła nas w doły. Jak zawsze z tęsknem, rozkwilonem sercem góry się opuszczało, a gdy nas szanowny miejscowy zarządca, Pan D. Hanuszczak odprowadzał, usłyszał na pożegnanie: Za łaską Bożą i księdza metropolity... ...do widzenia!

Srsptk. w październiku 1904.

P. S.



Tropowiec.

(der Schweisshund).

Tropowiec jest produktem czysto niemieckim a początek tej rasy, jak również rasy niemieckich ogarów, sięga czasów przedhistorycznych Germanii.

W owej erze człowiek, myśliwy z konieczności, raniwszy zwierza nie dał tak łatwo przepaść swej zdobyczy, na którą tak długo i zwykle z narażeniem życia polował, a od dostania której nie raz kwestya wyżywienia siebie i swojej rodziny zależała. Znalezienie więc takiego rannego zwierzęcia — tem bardziej jeżeli był to zwierz gruby, jak tur, żubr, jeleń, lub odyniec, było kwestyą piekącą dla pewnej rodziny i jej otoczenia. Myśliwy wtedy z konieczności żądać musiał pomocy od swego psa, pilnującego mu trzód i szedł z nim do boru, puszczał go na trop i przy jego pomocy odnajdywał zwykle swą zdobycz. Poźniej z wzrostem kultury, po zetknięciu się z cywilizacyą rzymską, myślistwo germańskie udoskonalało się i nabierało cech szlachetniejszych. Myśliwemu zwykły pies pasterski już nie wystarczał. Postanowił go skrzyżować z jakimś szlachetnym psem myśliwskim, widzianym na południu a uczyniwszy to stworzył rasy tropowców lub ogarów, które początkowo tylko tresurą od siebie się różniły. Tropowiec jest więc bratem niemieckiego ogara, czyli produktem powstałym z krzyżowania starogermańskiego psa pasterskiego z psem myśliwskim rzymskim (canis venaticus) a rasa jego powstała w dwóch formach. Był najpierw „laitihunt“ czyli Leithund, później zaś „spurihunt“ czyli dzisiejszy Schweisshund. Leithund służył do podprowadzania myśliwego pod zdrową jeszcze zwierzynę i pod tą nazwą egzystował w Niemczech aż do początku ubiegłego stulecia, gdy Schweisshund służył do odnalezienia rannego już zwierza i służy w tej roli do dzisiaj.

W 14 wieku miały już Leithundy wielkie znaczenie. W tej erze niemcy byli poprawnymi już myśliwymi i rozumieli, że łowy z ogarami w bogatych w wszelką pożyteczną i szkodliwą zwierzynę kniejach, doprowadzić muszą do zniszczenia tej pierwszej; tam gdzie nie uważali za stosowne polować z ogarami, używali Leithundów. Wiek 19-ty zmienił radykalnie wszelkfe pojęcia ludzkie - zmienić więc musiał wszelkie dawne pojęcia i obyczaje łowieckie, przez co w nowem myślistwie stały się tak Leithuandy jak i ogary zupełnie zbędnymi, gdy Schweisshund t. j. tropowiec przetrwał owe radykalne zmiany i jest do dzisiaj w prawidłowem, na wysokim szczeblu kultury stojącem niemieckiem łowiectwie, nader ważnym czynnikiem.

Jakieśmy już wyżej zaznaczyli, tropowce w początkach swej egzystencyi nie były wybitną rasą ale rekrutowały się z najlepszych i najzdolniejszych ogarów. Wybrane te ogary nie wracały już do swych gniazd, ale mnożyły się między sobą i tak przez selekcyę najznakomitszych gończaków wytworzyła się z biegiem wieków osobna rasa, która z czasem zupełnie się od tamtych wyodrębniła i do dzisiaj pod nazwą Schweisshundów w Niemczech wysoko kwitnie.

Tropowce są psami średniej wielkości (wysokość w łopatce od 46 do 62 cm) o sierci krótkiej, maści zwykle jednolito popielato-brunatnej lub czerwono żółtej z czarnym odcieniem na pysku, uszach, grzbiecie i ogonie. Uszy mają bardzo szerokie, ale nie długie, przystające do głowy i zwieszające się. Ogony ich są długie, cienkie, na dół prostopadle noszone, w dolnej połowie sierpowato na zewnątrz wygięte. Dawniej hodowano tropowce silne

i bardzo rosłe, później przekonano się, że takie często nie odpowiadają celowi, gdyż siły ich opanować nie można, gdy się je na rzemieniu ku postrzałkowi prowadzi i zaczęto produkować słabsze indywidua, które głównie w górskich terenach pokazały się nader praktycznemi. Baron Karg skrzyżował mniejwięcej przed 25 laty swoje tropowce z jamnikami i stworzył przezto nową, doskonałą rasę — nie posiadającą krzywych nóg i nie przypominającą dzisiaj nawet tego krzyżowania a lekką i doskonałą.

Tropowców w Niemczech jest kilka odmian, z których najważniejsze są:

1. **Tropowiec hannowerski** w dwóch formach t. j. jako Leithund i Schweisshund. Pierwszy jest większy, maści zupełnie tej samej, jakiej jest zimowa sukienka sarny, drugi jest mniejszy, tej samej maści co i pierwszy. Mogą też być te psy maści czerwono żółtej z czarnymi odcieniami na głowie i uszach.

2. **Bawarski tropowiec górski,** mniejszy od tamtego, wyprodukowany przez br. Karga, maści czerwono żółtej, z czarnym odcieniem na krzyżach, pysku i uszach.

Powyższa odmiana jest bezwzględnie najlepszą. Z powodu skrzyżowania z jamnikiem jest w niej zaciętość i lekkość tych ostatnich, mimo, że budową takowych niczem nie przypominają.

Na wielkiej międzynarodowej wystawie w Monachium w r. 1892 były te psy w licznych egzemplarzach wykazane. Było tam 36 indywiduów chowu br v. Karg-Bebenburg.

Należy teraz podać tu kilka słów o tresurze tropowca. O ile chodzi o drobną zwierzynę — słowem jeżeli chodzi o to, by pies jakiegó bądź postrzałka odnalazł — czy to będzie n. p. rogacz, czy zając lub kuropatwa, to tresura taka nie przedstawia wielkich trudności i za tropowca takiego może służyć każdy inteligentny i karny pies innej rasy myśliwskiej, jak n. p. wyżeł lub jamnik. Jeżeli jednak chodzi o zastosowanie tropowca w wyższem łowiectwie — gdzie przedmiotem łowów jest zwierz najszlachetniejszy, jeleń w terenie górskim, to tresura tropowca musi być wyższą, klasyczną, bo wtedy tropowca żaden inny pies zastąpić nie zdoła, i wtedy to tresura jest rzeczą nadzwyczajnie trudną, mozolną, wymagającą wielkiej rutyny i cierpliwości ze strony nauczyciela.

Czegoż właściwie żąda się od klasycznego tropowca? Prostej, zdaje się, bardzo rzeczy. Ma poprowadzić myśliwego tropem na postrzałka! Rzecz taka łatwa przy obfitej zwykle farbie po strzale kulowym! Gdy się jednak zważy, że ranny jeleń może pójść czasem bardzo daleko i że śledzenie go w trudnym przepaścistym terenie górskim jest często aktem, wymagającym wielkiego fizycznego natężenia, dalej że śledzenie postrzałka nie może często rozpocząć się natychmiast po strzale z najrozmaitszych przyczyn, a tymczasem, może wejść w drogę wiatr, burza lub deszcz, to przekonamy się łatwo, że często pies taki ma zadanie arcytrudne do wykonania. Często następują w zwierzęciu po strzale, krwiotoki wewnętrzne, na tropie postrzałka nie ma często jakiś czas kropli farby a drogę tę, którą szedł ranny jeleń, mogły przeciąć swym tropem inne zwierzęta, jak sarny lub dziki, a nawet inne jelenie, ale tropowiec klasyczny, puszczony raz na trop zwierza, nie porzuci go pod żadnym warunkiem i nie zamieni na inny, choćby świeższy, tak nosem swoim potrafi śledzić i odróżnić trop, na który go puszczono.

Tresura tropowca w głównych zarysach jest następująca: Gdy młody pies ma już pół roku, oprowadza go się często na łańcuszku mocnym ale lekkim i obszytym skórą, by się z późniejszą pracą oswajał a rzemienia nie przegryzał. Gdy dochodzi do roku życia, pies uczy się już poznawać tropy zwierza. Tropowiec ma już wrodzoną własność trącania nosem, w bardzo widoczny i wpadający w oko sposób, tropów zwierzęcych. Gdy nauczyciel to zobaczy, a pozna że to trop jelenia, to pozwoli jakiś czas psu (naturalnie zawsze na linewce) za nim dążyć, jeżeli zaś pokaże się, że to trop inny, to psa się natychmiast z niego linewką w tył ściąga (a l e n i g d y n a b o k n i e s p r o w a d z a ć) i głosem „pfuj“ gani. Na głos „lass sehen“ uczy niemiec tropowca trop pokazać, na głos zaś: „Wend dich,“ natychmiast zawrócić i po tropie znów ten sam kawałek drogi przebiedz, (die Rückfährte arbeiten).

Ważną jest rzeczą psa nauczyć, by szedł zawsze z nosem na tropie a nie jak wyżeł, z głową podniesioną do góry. Uczy go się tego na starych „zimnych“ tropach. Chce się zapomocą tropowca jelenia obtropić — to go się prowadzi tropem aż do zagajnika, gdzie jeleń zaległ, tam kładzie się na tropie zieloną gałąź i na około zagajnika się psa oprowadza. Jeżeli podczas okrążania pies nie pokaże tropu, to znaczy, że jeleń jest w kole. Wtedy, by się przekonać, czy pies się nie pomylił, przyszedłszy do miejsca, gdzie się zieloną gałąź położyło, wkracza się do środka i jelenia się wypłasza. Ćwiczenie takie naturalnie możliwe tylko w zwierzyńcu. Gdy się nauczyciel w ten sposób przekonał, że jego uczeń już dobrze zna trop zdrowego jelenia, zaczyna puszczać go na tropy postrzałka. Procedura jest w tym wypadku mniej więcej ta sama, z tą jedną różnicą, że gdy pies jest już dobrze na tropie, a postrzałek leży blisko, puszcza się psa wolno. Gdy ten jelenia już nie żywego dopadnie, musi i nauczyciel jak najprędzej na to miejsce podążyć i do szczekania nad zwierzyną zachęcać. To szczekanie nad trupem t. z. „todt verbellen“ jest już wrodzoną właściwością niektórych tylko tropowców i jest to przymiot niesłychanie ceniony. Nauczyć tego nie można, gdy pies tej właściwości z natury nie posiada. Radzą sobie wtedy myśliwi w ten sposób, że dają psu obróżkę, opatrzoną w dzwonki — ale to znowu ma tę niedogodność, że zwierz ranny się płoszy i do ostatka sił ucieka. Najlepiej psa uie umiejącego „todt verbellen,“ do ostatka na linewce prowadzić. Są jednakowoż psy tak zmyślne, że je można wyuczyć, by znalazłszy zdobycz do pana wracały i takowego do leżącej zwierzyny prowadziły. Na pewnej próbie niedawno odbytej w Niemczech, jeden tropowiec znalazłszy postrzelonego rogacza, odnalazł w kilka godzin potem swego pana, który dalej w nieznanym zupełnie psu terenie polował i poprowadził do odnalezionej zwierzyny.

Tropowiec dzięki swej pracy, w której często zaciętość i złość gra wielką rolę, stać się może z wiekiem złym i dla otoczenia niebezpiecznym, dla tego w domu nie powinien być nigdy trzymanym na łańcuchu, lecz pozostawać ciągle w ludzkiem towarzystwie. Są one doskonałymi stróżami domu swego chlebodawcy a szczególnie zwierzyny, której nikomu obcemu dotknąć nie pozwolą.

Tropowiec, jako pomocnik myśliwego w łowach na szlachetnego zwierza jest nader ważnym i niezbędnym czynnikiem.

Prawdziwy myśliwy bez tropowca na jelenia się nie wybiera.

Albert Mniszek.



Wspomnienia z gór.

Druga połowa września.

Rykowisko!

Co za wyraz elektryzujący, co za cudowna muzyka dla myśliwego, który miał sposobność bodaj tylko raz ją słyszeć, a cóż dopiero dla takiego, który prawie ćwierć wieku przebył w górach i lasach dziewiczych, napatrzył się na tego wspaniałego zwierza, króla gór naszych i nasłuchał się jego przepysznej, przejmującej a zarazam i groźnej muzyki.

Zdawaćby się mogło może niejednemu, że kto już tyle a tyle razy słyszał ryk jelenia, widział ich bardzo wiele i w dodatku nastrzelał się, nie może chyba już tak bardzo unosić się nad tem i mogło mu to już spowszednieć; lecz zdaniem mojem może tak myśleć tylko nie myśliwy lub ten, kto właśnie tego wszystkiego ani słyszał ani widział.

Nie raz, nie dziesięć, nie sto razy byłem tak zmęczony, zziębnięty, przemokły a często i głodny, że gdyby to nie myśliwy tylko raz jedyny przebył, z pewnością odrzekłby się wszystkiego i uważałby takiego, który to tylko powtórzy, chyba za nadającego się pod obserwacyę psychiatry.

Dziś, może być, że już bym nie potrafił tak po wertepach i kłodach gimnastykować, bo by może nogi nie dopisały, a jednak gdyby tylko wolno — o północybym się zerwał i pędził w tak doskonale znane góry i miejsca, gdzie obecnie na wszystkie strony rozbrzmiewają gody weselne.

Siedząc przy biurku, spoglądam przez okno na widzialne góry tutejsze — w pośród których — niestety — tego najprzyjemniejszego głosu nie słychać, — przenoszę się myślą do Rafajłowy i przypominają mi się najrozmaitsze okoliczności, wśród jakich łowy na jelenie się odbywały.

Niektóre z nich opisałem, a raczej próbowałem je w szpaltach „Łowca" z lat poprzednich opisać, obecnie również chcę się jeszcze niektóremi z szanownemi czytelnikami podzielić i proszę z góry o pobłażliwą krytykę.

W roku 1895 przybył do mnie p. Weede, niderlandzki poseł na dworze hiszpańskim, uzykawszy w ministerstwie pozwolenie ubicia dwóch jeleni.

Ponieważ wówczas nie było jeszcze ścieżek podchodowych w całym okręgu — dziś jest ich tam do 600 km. i 24 domków myśliwskich bardzo wygodnych — i były tylko w jednym oddziele lasu koło granicy węgierskiej a nie chciałem tam jeleni niepokoić, posłałem z p. Weede strażnika lasowego w inną dolinę, gdzie jednak przez sześć dni do strzału przyjść nie mógł.

Przewidując na podstawie raportu tegoż strażnika, że p. Weede i nadal do strzału nie przyjdzie, zmuszony byłem zaprowadzić go do innej części rewiru, gdzie wygodniej można było jelenia podchodzić.

Przybyliśmy do lasu przed wieczorem i usłyszeli kilka jeleni ryczących, a równocześnie znalazłem na ścieżce (czapaszu) świeże miejsce, gdzie dość gruby jeleń przez czas dłuższy ryczał i zmurszałe pniaki badylami i rogami porozbijał. Od miejsca tego o jakie 200 kroków była stara koliba, w której trzeba było koniecznie przenocować, co też uczyniliśmy.

Nie mogło być jednak mowy o spaniu, ani nawet o drzemce, ponieważ z powodu mgły, dym wydobywający się z ogniska w kolibie rozłożonego nie uchodził wcale a przynajmniej bardzo mało i niemiłosiernie gryzł nas i dusił. — Wyjść z koliby na dłuższy czas nie było wskazanem, albowiem zaraz po zmierzchu odezwał się jeleń tuż koło nas i przez całą noc prawie bezustannie ryczał.

Bez ognia znowu nie można było z powodu zimna wytrzymać, osobliwie myśliwym z południa przybywającym.

Trawiliśmy czas jak można było, najwięcej zaś gość bawił opowiadaniem sposobu polowań w zwierzyńcach na daniele.

Co prawda, niema ten sposób polowania ani cienia podobieństwa do naszego na jelenie w lasach dziewiczych, bo ani powozem podjechać, a tem bardziej z niego strzelać, ani powozem odjechać z lasu, ani wybierać z stadka najlepszego rogala, ani cygara zapalić podczas podsuwania się, ani w ogóle żadnej rzeczy, która przy danielu w zwierzyńcu uchodzi.

Tak doczekaliśmy brzasku dnia, jeleń nie przestawał ryczeć, wyprowadziłem więc pana posła znaną mi ścieżyną na przesmyk, gdzie też w kilka minut pokazał się krzykliwy zwierz, którego jednak nie widziałem jeszcze dobrze na zrębie, lecz p. Weede stojąc nieco wyżej, widział go lepiej i na jakie 30 kroków strzelił.

Po strzale najmniejszego szelestu a tem bardziej łamania słychać nie było i ani on, ani ja nie widziałem, gdzie jeleń znikł.

Po kilku minutach poszedłem sam pomału na miejsce, gdzie jeleń stał, a ponieważ światła jeszcze bardzo mało było, osobliwie dołem, nie mogłem z początku nic widzieć i idąc krok za krokiem, potrąciłem prawie leżącego zwierza nogą. Strzelony był na kulawy sztych na komorę a kula zatrzymała się aż w tylnej szynce, w ogniu więc rulował i ani się nie ruszył.

Była to bardzo ładna sztuka, regularny 16-tak o krótkich i tępycb odroślach.

P. Weede nie mógł się napatrzeć i przez cały dzień wypoczywał przy wieńcu.

Na drugi dzień o godzinie 4-tej rano wyszliśmy pod górę „Bezimienny" i poczęli podchodzić ryczącego dość dobrze jelenia.

Zanim jednak doszliśmy do niego, usłyszeliśmy łomot a wkrótce zobaczyli dwie łanie, uciekające wprost do nas. Przyszły aż na 10 kroków, postawały, wietrzyły i poszły obok nas dalej.

Wiedziałem na pewno, że i jeleń zaraz za niemi pójdzie, co też w tej chwili nastąpiło i miałem tylko tyle czasu, by powiedzieć „rechts kommt der Hirsch" na co p. Weede obrócił się i pięknego dwunastaka strzelił, który trafiony na komorę po kilku skokach przewrócił się.

Oddzieliwszy głowę z wieńcem, zabraliśmy się z powrotem do domu i przechodziliśmy z 400 kroków nową ścieżką podchodową, która prowadziła przez gąszcz, a która p. Weede tak się podobała, że powiedział: „diese herzliche wilde Alee und diesen, auf der gegenüber liegenden Lehne röhrenden Hirsch — werde nie in meinem Leben vergessen".

Wspomnieć jeszcze muszę, że wówczas był w Rafajłowie 76 letni staruszek stawnikiem — niemiec — który pytał mię, jak się ten pan nazywa, bo on chciał go się coś zapytać. Zwróciłem mu uwagę, że tego pana należy tytułować „Excellenz". Zaraz też podszedł do niego z temi słowy: „Also Herr Excellenz, es ist Ihnen doch gelungen 2 Hirsche z'schiessen, aber wenn Sie, Herr Excellenz noch mal herkommen, so lassen's diesen stinkenden Gummirock z'Haus, denn der Hirsch hat eine z'feine Nase, Herr Excellenz".

* * *

Od kilku lat już wiedziałem o silnym jeleniu w dolinie Sałatruk pod połoniną Taupicz, a przez trzy lata pomimo najusilniejszych starań i mozołów, nie udało mi się go na strzał dobry podejść.

Podczas rykowiska w roku 1886 wybrałem się ze strażnikiem na cały tydzień na wspomnianą połoninę, a porobiwszy już w lecie małe czapasze do nieprzystępnych miejsc, gdzie ten stary rogal zawsze przebywał, mogłem mieć nieco więcej nadziei na powodzenie.

Zaraz pierwszego popołudnia podsuwałem się do niego — chociaż słabo ryczał — przygotowaną w lesie ścieżką podchodową, prowadzącą w poprzek bardzo stromej uboczy, porośniętej tylko nader rzadko kosodrzewiną — z innej strony nie można było w żaden sposób do niego się przybliżyć z powodu nie jednostajnego kierunku wiatru, o czem przez 3 lata przekonałem się — pełzałem więc więcej na czworakach, a z pod nóg co chwila kamyk się odrywał i z szmerem na dół spadał, co miało ten skutek, że jeleń całą swą uwagę w tę stronę skierował. Naraz usuwa się pod mym ciężarem cała grupa kamieni i spada z wielkim łoskotem na dół, a ja z nią razem, z początku jakie 3—4 mtr. prawie prostopadle a później dalej już co najmniej 30 mtr. pod bardzo ostrym kątem.

Żem wówczas nie połamał nóg, rąk, strzelby i w ogóle żyw wyszedł, to jedynie zawdzięczyć mogę Opatrzności Boga, a może troszkę i św. Hubertowi.

Oprzytomniawszy po wypadku, począłem ruszać członkami, konstatując w ten sposób ich całość, a nie czując żadnego bolu oprócz ogólnego oszołomienia, postanowiłem czekać zmierzchu, by potem o ile można niewidzialnie przesunąć się owczym a raczej kozim czapaszem do lasu.

Jeleń rozumie się wobec takiego rumoru przestał ryczeć i dopiero po dobrej pół godzinie począł się odzywać słabo i rzadko.

Strażnik pozostały w lesie o jakie 300 kroków słyszał — jak później opowiadał — jakiś łoskot, myślał jednak, że zmurszały pniak przewrócił się, — co się w górach często zdarza — i od czasu do czasu odzywał się w róg.

Siedząc koło krzaku kosodrzewiny usłyszałem naraz szmer spadających kamyków z góry a podniósłszy wzrok w tę stronę, zobaczyłem upragnionego rogala prawie na tem samem miejscu stojącego, z którego przed godziną tak błyskawicznie zleciałem; ostrożnie podniosłem sztuciec, strzał huknął, a z nim razem ogromna masa kamieni leciała na dół, przed którą o ile można było, schroniłem się za kosodrzewinę.

Jeleń rulował na miejscu, a nie mając miejsca dostatecznego na łoże, sunął się w dół bijąc badylami.

Był to bardzo ładny 12-tak (wstecznik) o bardzo grubych nogach, wysokich na 1·16 m., róża zaś ma obwodu 37 cm. i przyznam się, że takich róż jeszcze nie widziałem, — grandle zaś, tylko jeden, prawie czarny.

Nadmienić muszę, że podchodząc tego jelenia, widziałem w niektórych miejscach ślady ledwo dostrzegalne na tym czapaszu w lecie zrobionym, z którego tak niefortunnie zjechałem.

Idąc pomału z odciętym wieńcem na górę do koliby, strzeliłem po drodze starego głuszca, tokującego na suchym świerku tak dobrze jak w kwietniu.

Peczeniżyn, 8. października 1904.

Martyniec.

Jesień.

(Obrazek.)

Cudna, polska jesieni! Tyś jest jak królowa
Wspaniała i poważna, w życia swem jaśnieniu!
Koroną złotolistną świeci się Twa głowa.
Płaszcz z pajęczej koronki na Twem lśni ramieniu,
Błyszcząc tęczą stubarwną, opalem sie mieni
Pod modrym baldachimem czystego błękitu,
Snując się po kobiercu z więdnącej zieleni,
Lub jarząc się w powietrzu, jak jutrznia przedświtu!
Człowiek cię wita mile i żegna się z latem
I skrzętnie zbiera plony, lub chleb w ziemię sieje,
Dziewczę tęskne się cieszy ostatnim Twym kwiatem,
Co do słońca ciepłego przed śmiercią się śmieje!
A gdy wiatry północne przed śmiercią zawyją
I łzami Cię zimnemi z pustej ziemi zmyją,
Gdy pod śnieżną zasłoną zamkniesz Twoje oczy,
Smutek wtedy głęboki ludzkie serca tłoczy!
Za Tobą, Złotowłosa, oczy łzami świecą,
Gdy na Twoją mogiłę śnieżne płaty lecą!...

— — — — — — — — — — — — — — — —

Jesień! Lasy stroją się w złote i purpurowe szaty, łąki w srebrną ruń pajęczą, a na cichej, jasnej, bezchmurnej kopule błękitu zarysowuje się czarnym kątem, jakoby misternie tkanym haftem, klucz na południe lecących żórawi.

I czemuż one się tak spieszą?

Tu ciepło, jasno, w koło roztacza się niesłychany przepych przyrody, potężna gra barw i odcieni, mistrzowską harmonią w jeden wspaniały obraz zlana, obraz godny pędzla Mistrza, co świat stworzył, a w uszach i sercu brzmi chaos to głośnych, to cichych tonów, zlewających się w całe łańcuchy rzewnych molowych a coraz to innych akordów, płynących jakoby wezbrany potok tęsknoty, jakoby drganie strun cytrowych, na której gra serce smutnej, tęskniącej kochanki! A ptaki lecą!... lecą, choć płaczą, choć im tęskno rzucać te śliczne rodzinne obrazy, choć wiedzą, że straszna i długa grozi im droga, i że ich ciężkie życie czeka na wyraju! Lecą, bo wyższa wola lecieć im każe, bo ten ich klucz czarny, tęsknie płaczący jest częścią tego wspaniałego obrazu, jaki Bóg przed nami roztacza, a ich ten rzewny klangor jest jednym z tonów tej potężnej i tęsknej piosenki, którą jesień nam śpiewa!

Bo jesień to czarów i tęsknoty bogini, to władczyni pędzla i tonów!

Ten wspaniały jej, kapiący złotem, srebrem i barwą wszystkich drogich kamieni obraz, to po mistrzowsku malowane płótno, którego tło w nieskażonym się kąpie błękicie, oprawne w ramy szmaragdowych pól i oliwkowych łąk, na których listku każdym kropla rozmarzłej rosy brylantem się świeci!...

A jakiem ten obraz drga życiem!... I zdaje się nam, że patrzymy na jakieś, czarodziejskim pędzlem malowane płótno, za którem ukryta również czarodziejska cytra, cudną starą baśń nam śpiewa!

Tu półnaga już złota brzoza, jak wiejska dziewczyna blondynka płacze, że ją porzucił słońce-kochanek, tam buk stary, król lasów, purpurowy płaszcz z siebie strząsa, bo czas minął jego chwały a w zimie może śmierć, siekiera go czeka! A posłuchajcie, jak się każdy liść skarży z osobna, jak się od śmierci wyprasza, jak się na gałązce, jak ptak

schwytany trzepocze, jak szemrze, gdy w mchy niby motyl ze złamanem skrzydłem upadnie, jak skarzy się długo, nim go śmierć na zawsze utuli! A świerk wiekowy, ten znowu inną pieśnią szumi, ten dumny, poważny, jednej igiełki z siebie nie uroni, nietykalny jako stara ostrołuka gotycka katedra, na której iglicy wichry i gromy łamią swe czoła, a w której pieśń: „Święty Boże, Święty a Nieśmiertelny“ rozbrzmiewa!...

A po runią pajęczą strojnym obszarze szmaragdowych ozimin, po spleśniałych dywanach łąk i pastwisk, płynie wiatr wesoły i brylanty rannego szronu gasi i śpiewa pieśń nadziei!...

A nad złotemi i purpurowemi drzew kopułami, nad zielonemi szmatami ozimin, łąk i pastwisk lecą sznury płaczących żórawi, gęgających dzikich gęsi i przenikliwie gwiżdżących kulonów, dopełniając całości obrazu i tych niezrównanych akordów, z których jesień wiązanki uczuć plecie, którymi łzę z oka wyciska a pieśń z serca wyrywa pieśniarzom.

Albert Mniszek.



Z obcych światów.

Z WYPRAWY POLARNEJ
OTTONA SVERDRUPA
(1898—1902)

OBRAZKI MYŚLIWSKIE.
(Dokończenie).

IV.

Wół piżmowy w obronie życia.

Psy w tej chwili zwietrzyły zwierza. Z szybkością pospiesznego pociągu mknęły teraz sanki po równinie, podskakiwały na krach lodu, toczyły się podskokiem po pochyłościach. Szalona ta jazda trwała tak długo, póki stromy, piaszczysty grzbiet nie stanął całą szerokością swej ściany na zawadzie.

Zastałem tam już Bay'a. Puściłem psy i we dwóch zaczęliśmy się pod cztery stojące byki podkradać.

Te utworzyły najregularniejsze „Carrée“. W równych odstępach od siebie, tyłami ściśnięte do środka, głowami na zewnątrz stojące, oczekiwały w spokoju wroga. W porządku, jeden po drugim, byk robił z szybkością błyskawicy wypad z tej fortecy w kółko, z lewej strony ku prawej i wracał na swoje miejsce. W czasie tego wypadu luka się zamykała, a gdy zwierzę wróciło, tamte się stosownie na nowo rozstępowały, by je na miejsce dawne puścić a sąsiad jego robił taki sam wypad na nowo. Jak długo trwały te manewry, tak zawsze jeden z byków był w ofenzywie i starał się atakującego psa wziąć na rogi lub roztratować.

Wielkość wypadu zależną jest od terenu i bliskości atakującego wroga. W regule nie wyskakuje byk dalej, jak na 10 do 12 metrów od „Carrée“; raz jeden widziałem tylko, jak rozjuszony bawół w pościgu za wrogiem, o jakich sto metrów od swego stanowiska obronnego się oddalił.

Widywałem już takie carrée, złożone z sztuk 30. Młode sztuki w środku, stare krowy i byki na obwodzie. Gdy któraś sztuka na linii obronnej padła i tworzyła się luka, powoływaną bywała rezerwa ze środka aż do dwuletniej jałówki.

W takich warunkach zdarzało się często, że najstarsze i najmocniejsze byki występowały z tej ruchomej fortecy naprzód, starając się całą siłą atakujących wziąć na siebie, albo na swoją rękę szukać wroga i walczyć. Takie sformowane carrée stało tak długo, póki napad nie był odpartym, albo póki ostatni z obrońców nie runął martwy. Sam widziałem raz, jak ostatni już, przy życiu się znajdujący byk, zrobiwszy wyżej opisany manewr wypadu, na swoje miejsce, między ciała zabitych swych towarzyszów powrócił.

Taki sposób obrony, jakiego te zwierzęta używają, jest bez wątpienia racyonalnym i pewnym przeciw napadom wszelkich wrogów-zwierząt, czy będzie to wilk, czy niedźwiedź, ale wróg-człowiek taki system obrony tylko świetnie wykorzystać potrafi. Puściwszy psy i zmusiwszy woły do sformowania carrée, z swego dalekonośnego i świetnie strzelającego karabina, 6 i pół milimetrowego Krag-Jörgensena, można całe stado tych zwierząt w przeciągu kilku minut wystrzelać, na żadne niebezpieczeństwo się nie narażając.

To nie jest myśliwstwo, to nie sport, to zwykła i wstrętna rzeź!

Mimowoli zadaje sobie widz takiej walki pytanie, przeciw jakim wrogom ze świata zwierzęcego, woły piżmowe zaprowadziły u siebie ten sposób obronny.

Przeciw niedźwiedziowi? Nie. — Bo ten zawsze samotny lub z najbliższą swoją rodziną chodzi a nigdy w stadach. A jeśli by przyszło do walki w pojedynkę między tymi dwoma królami arktycznych bezkresów, to sądzę, że wół piżmowy wyjdzie z niej zawsze zwycięzcą.

To tylko wilki nauczyć ich mogły robienia tych ruchomych fortec. I choć tutaj wilk także stadami nie chodzi a pożywieniem jego są głównie zające, których tu ma podostatkiem i tanim je kosztem zdobywa, to przypuszczać należy, że albo woły przywędrowały tutaj z innych polarnych, obfitych w wilki okolic, albo że dawniej wilków było tu znacznie więcej.

Ale wracajmy do rzeczywistości. Miałem przed sobą teraz wspaniały i groźny widok. Cztery duże stare byki zeszły się w kupę, tyłami do środka się ścisnęły a co chwila jeden z nich wyskakiwał i na psy, które mężnie atakowały, się rzucał. Ale nie długo trwał ten piękny i nigdy zapomnieć się nie mogący myśliwski obrazek! Kilka strzałów z karabinka mego towarzysza i zwierzęta leżą już w krwi dymiącej, w konwulsyach przedśmiertnych drgające... a nad tymi przed chwilą potężnymi władcami zamarłych lodowych bezkresów znęcają się psy nasze i szarpiąc bezsilne już teraz kolosy, dają folgę swej wściekłości.

I kontent byłem, żem do tej wstrętnej rzezi swej ręki tymczasem przykładać nie musiał. Ale i Bayowi zarzucić nic nie można. Nam trzeba mięsa! Jego zapas jest podstawą naszego istnienia! Cel w takich razach uświęca środki.



Polowanie na niedźwiedzie w Siedmiogrodzie

przez

ALEKSANDRA FLORSTEDTA

z niemieckiego tłumaczył M. R.

(Dokończenie).

Zaledwie zdołałem cugle mego konia rzucić strzelcowi, przygotować się do strzału i podbiedz ze 30 kroków, a już dzik, z bliska przez psy goniony, kilkoma susami wypadł na małą polankę, chcąc znów ku górom zawrócić. Jednakże mój 9 mm. pocisk płaszczykowy z trzema gramami bezdymnego prochu, zwalił go w ogniu jak zająca. W mig siedziała na nim cała psiarnia, szarpiąc za kudły. Ani jednego psa nie brakło przy hallali! — Akuratnie się złożyło; w kilka minut później nie miałbym był światła. Z lasów europejskich tylko siedmiogrodzkie kryją w sobie tak potężne dziki*).

Wracając po tem zboczeniu znów do naszego misia, zaznaczę, że i w tym kierunku tylko pochwała psom mym się należy. Dwunastego listopada r. z. podjąłem znów ze swymi ludźmi i całą psiarnią wyprawę na dziki w pasie jodłowym. Ponieważ ostatniej nocy spadła pyszna ponowa, miano psy podłożyć tylko na bardzo dobrym tropie. Rozesłałem mych ludzi na wsze strony dla otropienia. O godzinę dalej w górę mieliśmy się zejść na małej polance. Jeden z powracających doniósł o tropie wielkiego niedźwiedzia. — „Do krocset! — znów mam przy sobie pukawkę“, zawołałem na tę wiadomość. Znów miałem przy sobie sztuciec 9·3 mm. na proch czarny, podczas gdy w domu czekały użycia najrozmaitsze specyfiki na niedźwiedzia od 9 mm. z trzema gr. bezd. prochu, aż do paradoksu kal. 12. o pocisku 54 gr. Z powodu odległości nie mogłem posłać do domu, więc musiałem poprzestać na broni, którą w ręku miałem. Zatem na trop! — Przyszedłszy na trop uznałem z mymi strzelcami jednogłośnie, żeśmy jeszcze większego tropu nie widzieli. Można w nim było po prostu siąść. Skonstatowaliśmy, że niedźwiedź delektował się w nocy bukwią a za dnia wrócił w rejon jodeł. Krótka narada wojenna! — Ja poszedłem dalej w górę ku skale, z której mogłem całe łowy dobrze słyszeć i śledzić. Ludzie moi pozostali ze zleceniem, by po upływie pół godziny psy puścili i za mną podążyli. Wobec znacznej okiści na jodłach zacząłem wątpić w pomyślny skutek.

Długo czekałem — wtem z dala podemną okrutna wrzawa i ujadanie psów.

Posłuchawszy jakiś czas gonu, by odgadnąć zamiary misia, zrozumiałem, że me powodzenie a niepowodzenie niedźwiedzia, zależą tylko od złożenia przezemnie osobistych odwiedzin. Nie zwlekałem długo, lecz zsunąłem się natychmiast w dół. Zapewniam, że w tym trudnym, spadzistym i skalistym terenie i wśród jodeł, oblepionych śniegiem, przeprawa ta była nielada pracą. Trzymając się gałęzi jodłowych, zjeżdżałem w dół, stawiając nie małe wymagania, mym niewymownym i moim bokom. Później goiłem przez dwa tygodnie rany i zdarcia otrzymane w tej jeździe w dół. — Trafiwszy na skałę, nie pokrytą jodłami, zamykałam oczy, zacinałem zęby i na złamanie karku zjeżdżałem.

W ten sposób zbliżyłem się znacznie do ujadających psów. — Teraz spokój, odpocząć, sztuciec ze śniegu oczyścić — i każdy krok z rozwagą! Niedźwiedź sunął na wzdłuż zboczą to wolniej, to szybciej, zatrzymując się czasem i opędzając od psów. Na czworakach pełzając i sunąc się, musiałem się starać nie dozwolić niedźwiedziowi, by mię minął. Przeklęte ośnieżone jodły! Że też ani rusz przejrzeć przez nie! Wtem trafiłem szczęśliwie na starą ścieżkę owczą. Cicho podchodząc wzdłuż ścieżki, znalazłem się wnet prawie za blisko wobec wspaniałego, przykuwającego obrazu!

Na małej polance, wielkości pokoju, stał nawpół wzniesiony olbrzymi, potężny niedźwiedź z rozwartą paszczą i zjeżonym na grzbiecie włosem. Na jaskrawo białem tle otoczenia wydawał się, czarny jak kruk niedźwiedź, prawie podwójnie wielkim. Bezustannie łapami bijąc i obracając się w kółko, odganiał psy mrucząc. Ponieważ niedźwiedź ujść mi już nie mógł, nie zważałem już na krycie, kładąc główną wagę na dobre umieszczenie strzału, co jednakże przy ustawicznem kręceniu się niedźwiedzia, prawie niemożliwem było.

Kilkakrotnie odkładałem wzniesiony sztuciec, gdyż miałem w ręce pojedynczy sztuciec o słabym naboju, a gdyby raz strzał padł, nie było mowy o powtórnem nabiciu przy takiej bliskości!

Jeden z mych najlepszych psów, chąc skubnąć niedźwiedzia, spostrzega mię, zastanawia się na mgnienie oka i otrzymawszy uderzenie łapą, wylatuje jak piłka w górę i znika wśród okiści. Ciągle mam niedźwiedzia na kulawy sztych z przodu i nie mogę strzelić. Wtem spostrzega mię niedźwiedź i zamyka rozwartą z wściekłości paszczę. Widzę z jego miny, że oniemiał poprostu z powodu mej interwencyi i niemiłej bliskości. Błyskawicznie zwraca się i uderza na mnie. Ja rozduszam prawie sztuciec i zaciskam zęby. Wtem chwyta go jeden z psów w tkliwe miejsce, niedźwiedź się zwraca i w tej chwili otrzymuje mój strzał wysoko w łopatkę. Nie zaznaczywszy, jest w kilku susach tuż przy mnie. — Nieludzkim skokiem salwuję się w bok, ale już wali się kolos, wznosząc się jeszcze do uderzenia, przewala się wstecz z łomotem i konając stacza się w dół, szarpany przez psy, które chcą go przytrzymać.

Westchnienie ulgi wydobywa się z mych piersi i radosny okrzyk zwołuje mych ludzi.

Moje pieski znów się raz pięknie popisały i przywiodły mi takiego niedźwiedzia przed lufę, jakiego chyba w tem życiu już nie upoluję. Długość niedźwiedzia od nosa do ogona wynosiła 2 m. 60 cm. Chętnie byłbym go zważył, ale jedyna waga w mym domu waży tylko do 50 gr. i jest przeznaczoną do ważenia prochu. Wagę tego niedźwiedzia szacuję 100 kl. więcej, niżeli ważył największy jeleń węgierski, jakiegom kiedykolwiek widział, a przecież waga ośmnastaka, którego na tegorocznem rykowisku zabiłem, była co najmniej bardzo pokaźną. Oprócz ogromu rozmiarów był niedźwiedź bardzo łojny. Kula siedziała świetnie, wysoko w łopatce.

Chcę dokładnie przedstawić działanie 9·3 mm. pocisku aliażowego z nasadzonym stożkiem. Po przebiciu skóry, warstwy łoju, 6 cm. grubej i potężnie rozwiniętych mskułów łopatkowych, zrobiła kula w górnej części kości łopatkowej otwór, wielkości marki, przebiła i poszarpała płuca i części jej siedziały po przeciwnej stronie około żeber, a jedna złamała żebro. Wlot kuli był większy od kalibru. Od pocisku 9 mm. i 3 gr. pr. bezd. byłby niedźwiedź w strzale runął a i tak działanie 9·3 mm. pocisku

---

*) To chyba naszych górskich nie widział (przypisek tłumacza).

aliażowego nazwać trzeba dobrem. Ale lepsze jest nieprzyjacielem dobrego, to też dalekim jestem od tego, by polecać ten pocisk na niedźwiedzia, ponieważ mi się dwa ładne strzały udały. Powyższe opisy świadczą dostatecznie, że można polować na niedźwiedzie z niezłem powodzeniem, ale takich rezultatów, jakie się osiąga na równinach, nie można osiągnąć w górach nawet z najlepszymi psami, zwłaszcza, jeżeli strzelający jest sam jeden.

Daleko lepsze rezultaty możnaby osiągnąć w trójkę i często byliby mi dwaj pewni strzelcy kulowi bardzo miłymi towarzyszami. Przy wielu bezowocnych łowach tej jesieni, byłby z pewnością jeden przyszedł do strzału, a może i dwaj. Polowanie wykonywane przezemnie samego, polega na tem, że staram się podejść osadzonego przez psy niedźwiedzia, co mimo największych trudów rzadko się udaje przy nadzwyczajnych trudnościach i przeszkodach, jakie się tu ustawicznie spotyka. Nadto średni niedźwiedź zmyka przed psami, jak zając. — Tak niedźwiedź, jak i dzik, gonione, zmykają ku dającym ochronę szczytom, ku dolinom zaś tylko przy bardzo głębokim śniegu, lub gonem zmęczone. Jeżeli zaś jest kilku myśliwych i obsadzi się pewne, znane mnie i mym ludziom przesmyki, można mieć zupełnie inny rezultat.

Swego czasu spierano się w jednem piśmie łowieckiem, jaki rodzaj pocisków i jaki kaliber najlepiej się na niedźwiedzia nadają, to też nie chcę zakończyć mej pogadanki o niedźwiedziu, nie omówiwszy i tej kwestyi. Ażeby sobie jasny sąd o tem wyrobić, trzeba się nieco bliżej przyjrzeć kształtom i budowie anatomicznej niedźwiedzia. Przód jego jest nadzwyczajnie rozwinięty, tył natomiast mniej; podobnie jak u dzika. Jeżeliby niedźwiedzia w połowie przeciąć, trudnoby uwierzyć, że te dwie części do siebie należą. Dalej pierś niedźwiedzia, kiedy stoi na czworakach, nie jest wydętą jak u konia, lub racicowych, lecz wklęsłą jak u człowieka. U niedźwiedzia powyższy stan, tem bardziej się uwydatnia, że ma przedramiona olbrzymio rozwinięte. Głowę ma klinowatą, jak foxterrier i nosi ją poziomo, tak, że każda kula na sztych posłana, musi się ześliznąć; nadto potężny łeb kryje zupełnie szyję. Z tego wynika, że niedźwiedź nie może być na sztych śmiertelnie trafiony. Czy się ma kaliber 8 mm. czy też 8 cm. nie gra to żadnej roli. Jak znakomitym jest strzał na sztych do dzika, tak podobny strzał do niedźwiedzia naraża zawsze życie myśliwego. Nigdy jednak nie zachodzi konieczność strzelania na sztych do niedźwiedzia. Niedźwiedź idący na sztych na mnie, musi mi nieco bok pokazać. Niestrzelany niedźwiedź rusza się na myśliwego tylko przed psami. Najlepszą i jedyną bronią w takich wypadkach jest największy spokój i zimna krew. Dwa razy strzeliłem z ambony do niedźwiedzia na sztych, jak do tarczy. Oba runęły w strzale, farbowały dobrze i rycząc biły łapami, ale żadnego z nich nie dostałem. Najprawdopodobniej uszły z życiem.

Ponieważ zaś tył jest znacznie słabiej rozwinięty, nasuwa się zaraz przypuszczenie, że jest on tam znacznie czulszy i tak jest rzeczywiście. Niedźwiedź jest bardzo czuły na strzały w miękkie, zupełnie przeciwnie jak zwierz racicowy i miękko strzelony, wnet oblega. Niedźwiedź strzelony miękko, średnią kulą, rzadko przepadnie. Ze względu na bezpieczeństwo życia myśliwego, sprawa ta nieco inaczej się przedstawia.

Największa część niedźwiedzi zabitych przezemnie w Siedmiogrodzie, miała strzał w wątrobę, to też uważam go za najskuteczniejszy po strzale w płuca. Lepszym byłby strzał wysoko w łopatkę, ale ten nie zawsze się udaje, bo olbrzymia muskulatura łopatki i ramienia prawie uniemożliwia strzał w serce. To też z bliska w łopatkę, zaś dalej nieco poza nią strzelać należy. Wielka część nie podjętych niedźwiedzi ma strzał w łopatkę, który każdą inną zwierzynę najlepiej powala. U niedźwiedzia zbacza zwykle pocisk w potężnych muskułach i nie wnika dość głęboko. Trzeba widzieć na rozkładzie niedźwiedzia, syna wolnych gór! Uderzając ciężkim młotem kowalskim w muskulaturę ramienia, bije się jak w skałę. Przed nagonką najlepiej strzelać niedźwiedzia na połeć, lub przepuściwszy za siebie, na kulawy sztych z tyłu poza łopatkę.

Jakiż więc kaliber i jaki pocisk najlepszy na niedźwiedzia?

Największa część myśliwych, mających sposobność polować na niedźwiedzie, których powyższe pytanie zajmować będzie, poluje przeważnie z nagonką. Przy tym rodzaju polowania, ma myśliwy zobowiązania wobec sąsiadów, bo ze strony postrzelonego niedźwiedzia grozi myśliwemu, spokojnie stojącemu, daleko mniejsze niebezpieczeństwo, aniżeli sąsiadom a specyalnie nagonce. To też stoję zupełnie na stanowisku Oberländera. Należy używać tylko dobrego pocisku i najsilniejszego naboju. Dobrym i wystarczającym nabojem jest cal. 500 ze siedmiu gr. czarnego prochu; mniej prochu nie powinno się używać. Na każdy sposób chętniej bym widział Oberländera nowocześniejszym. Cal. 500. i 9 gr. prochu czarnego, na to już dawno sceptycznie patrzę. Znam ten nabój dokładnie. Proch trzeba tłoczyć do łuski i pewny jestem, że najmniej 1 gr. się nie spala. Nadto precyzya przy tak silnym ładunku jest niedokładną. Już przy siedmiu gr. nie wystarcza precyzya według dzisiejszych pojęć, a cóż dopiero przy tak wzmocnionym ładunku. Podwójny ekspress, któryby miał mieć przy 9 gr. ładunku jaką taką precyzyę, musiałby ważyć 9 do 10 funtów. A właśnie do niedźwiedzia, trzeba się szybko i zręcznie złożyć. Byłem także w Rosyi, ale nie mogłem się tam niczego nauczyć. Ten angielski nabój o 7 do 9 gr. prochu był jeszcze przed 10 laty w wielkiem poważaniu, kiedy jeszcze nic lepszego nie znano, ale dziś mamy już w Niemczech lepsze rzeczy. Nadto kopnięcie tego kalibru jest również nieco za silne. Jeżeli już ma być koniecznie czarny proch i miękki ołów, to radziłbym ci panie Oberländer używać paradoxa. Mam od Nowotnego w Pradze podwójny paradox, cal. 12. z którego strzelam kulą 54 gr. i 2·5 gr. Wöllersdorfskiego bezdymnego, lub 6 gr. czarnego prochu i mogę do 80 kroków stanąć w zawody z każdym angielskim podwójnym ekspressem cal. 500. Strzelam na 60 kroków, na przemian z obu luf, pół tuzinem kul w szybkim ogniu w jedną pocztówkę. Przytem waga broni jest $6\frac{1}{4}$ funta i kopnięcie nie znaczniejsze, jak przy strzale śrótowym; na każdy sposób uderzająco małe.

Dziwna to zagadka, ta lufa paradox ze swymi, tylko 5 cm. długimi zwojami u wylotu. Nowotny sporządza dwa rodzaje pocisków; jeden ekspansywny, a drugi o rdzeniu stalowym i czworobocznym końcu. Zaletami są: znacznie mniejsza waga broni i mniejsze kopnięcie. To przecież zupełnie co innego a działanie kuli nie pozostanie zapewne w cieniu za ekspr. 500. o 9 gr., gdyż pocisk znacznie się deformuje. Tu na Węgrzech używają paradoxów bardzo często na niedźwiedzie i dziki. Hrabia Samuel Teleki, pierwszy myśliwy na Węgrzech, używa na niedźwiedzie tylko paradoxa, a zabił raz na jednem stanowisku aż trzy niedźwiedzie.

Niejeden z czytelników mógłby zapytać, czemuż więc nie używać podwójnego expressa cal. 12.? Dlatego, że

byłby dwa razy cięższym, przy tym samym naboju. Nadto miałem w ręku około pół tuzina ekspressów tego cal. a wszystkie gorzej strzelały od paradoxa. Muszę p. Nowotnemu w Pradze przyznać, że robi paradoxy znakomicie.

Najlepszem, co obecnie posiadamy, są stanowczo nabój 9 mm. z 4/5 płaszczykowym pociskiem i 2·9 gr. bezdymn. pr. i 9·3 mm. z 3·5 gr. bezd. pr. i pociskiem 7./8. płaszczykowym. Ostatni jest specyalnością Ottona Bocka w Berlinie. Ja używam 9 mm. pocisku już od siedmiu lat. Kiedy jednak dawniej używałem 2·6 gr. bezd. pr. Troisdorfskiego, od trzech lat używam silnego ładunku 2·9 gr. na rykowisku, na niedźwiedzie i dziki ze znakomitym skutkiem. Ubiłem nim wiele grubego zwierza i mogę śmiało twierdzić, że wątpię, by którykolwiek pocisk dorównał temu 9 milimetrowemu pod względem zabójczości. Działanie jego przenosi czterokrotnie działanie pocisku 8 mm. i 2·75 gr. bezd. pr. Ja zabiłem tym pociskiem pocześną liczbę kapitalnych jeleni i wielkich dzików, ale każdy zwierz, którego, że się tak wyrażę, tylko dotknąłem tym pociskiem, padał jak piorunem rażony.

Raz strzeliłem wielkiego dzika przed psami w pędzie, na 130 kroków na sztych z tyłu w szynkę i jak od pioruna, runął na miejscu. Innego dzika strzeliłem w gąszczu w przód łopatki. Przód piersi i oba przednie skoki były dosłownie zmiażdżone a kości na drobne kawałki strzaskane, tak, że dzik był zupełnie obezwładniony i bez trudności dobić go mogłem.

Szczególnej wartości nabiera ten pocisk podczas węgierskiego rykowiska, gdyż tam nie można czekać, jak u nas w Niemczech, aż się go dostanie na czystem i na połeć. Rykowisko krótko trwa a kapitalnego nie często się spotyka. Tu trzeba pocisku, którymby można powalić jelenia w każdej postawie. Tym warunkom odpowiada pocisk 9 mm. znakomicie.

Przy tym stanowczo bardzo silnym ładunku, dziwiła mię najwięcej bajeczna precyzya. Posłałem redakcyi na pokaz t. z. berlińską tarczę pistoletową o średnicy czarnego 14 cm., do której strzelałem ze sztućca E. G. Hänela. Ostrzeliwając ten sztuciec, dałem przy świadkach do wyż wymienionej tarczy 8 strzałów z oparciem i bez okazywania na 100 kroków i wszystkie ośm strzałów można przykryć skrawkiem papieru o wysokości 6 cm. i szerokości $2\frac{1}{2}$ cm. (Słusznie! red.). Większą precyzyę widziałem raz tylko u jednego z mych 7 mm. sztućców. Zaznaczam, że mógłbym był obraz strzałów znacznie zmniejszyć, gdybym był kazał każdy strzał z osobna pokazywać. Byłbym z pewnością zeszedł na $2\frac{1}{2}\times 3$ cm. Ale tylko ten jeden raz strzelałem z tego sztućca do tarczy a potem schowałem go do szafy.

Tak znakomita precyzya, zależy znacznie od zamku. Ze wszystkich znanych mi zamków walcowatych ma najnowszy zamek Hänela najkrótsze uderzenie. Przy kalibrze 500. i 9 gr. prochu, trzeba przy wyż podanych datach precyzyi dodać wszędzie po nuli. Komu sztuciec magazynowy nie do smaku, ten niech nabędzie podwójny ekspress od jednego z nowoczesnych mistrzów: Schradera z Göttingen lub Brennekego z Suhl, których specyalnością są podwójne ekspressy na powyższe naboje, pod gwarancyą bezpieczeństwa.

Mam jeszcze sztuciec z zamkiem na poprzecznych czopach Ottona Bocka z Berlina kal. 9·3 mm. ze wspomnianym już raz kolosalnym ładunkiem 3·5 gr. bezd. pr. i 7./8. płaszczykowym pociskiem. Pocisk jest nieco krótszy, zato ładunek większy. Do zwierza jeszcze z niego nie strzelałem, ale działanie jego powinno być, jeżeli nie znacznie lepsze, jak dziewięcio milimetrowego, to przynajmniej równe, jakkolwiek przy pociskach płaszczykowych trudno uzupełnić siłą ładunku, braki w długości pocisku. Gdzie nie ma masy (Stauchungsmasse), tam nie ma się co deformować, a deformacya jest równoznaczną z porażeniem nerwów i szybkiem zabijaniem. Ten sztuciec ma precyzyę równą 9 militrowemu i sądzę, że ma świetną przyszłość przed sobą. To co wyżej powiedziałem, jest również powodem, dla którego 10·75 mm. pocisk płaszczykowy mniej jest zabójczym, aniżeli 9 mm. Wymagałby on czterech gr. pr. bezd., by mieć tę zabójczość co 9 mm. Mimo to działanie tego pocisku jest bardzo dobrem, zwłaszcza pod względem farby. Przed mniej więcej dziesięciu laty używałem przez kilka lat podwójnego ekspressa cal. 10·75 mm. z 2·75 gr. pr. bezd. i wielu myśliwych w Harcu kupiło sobie podobną broń, której do dziś używają. Farba leje się jak z konwi, ale zwierzyna dalej idzie i dłużej żyje niżeli od 9 mm.

Drylingów nie radzę używać na niedźwiedzie i kapitalne dziki, bo broń taka przy użyciu odpowiednio silnych nabojów, byłaby za ciężką i nie odpowiadałaby celowi. Chyba, żeby zrezygnować z lufy ekspressowej i lufy śrótowe kazać sporządzić na kule Brennekego i 8 do 10 gr. czarnego prochu. Brenneke zapewnia o doskonałej precyzyi pocisków swego wyrobu na 60 metr. przy tych olbrzymich ładunkach. Takich drylingów nie odradzałbym. Jednakże kto sobie może pozwolić na takie polowanie, tego stać i na specyalny sztuciec. Odpowiedne narzędzie należy do każdej czynności w życiu.

Mało co jest mi mniej sympatycznem, jak strzał kulą z gładkich luf! Podczas mych dwudziestoletnich podróży myśliwskich w poprzek całej Europy aż po Syberyę, widziałem wiele strzałów myśliwych z natury (Naturjäger) kulą okrągłą. Dużo farby, ale zabójczość nędzna. Zresztą każdy postrzał przestaje w końcu broczyć. Nawet inteligentniejsi myśliwi z natury uznają niedostateczność kuli okrągłej. Tak znalazłem u Czuwaszów i Mortwinów w Uralu sposób robienia nabojów, dziwnym trafem również przez włoskich myśliwych używany. Ci ludzie kują z wielką starannością okrągłą kulę, większą niż kaliber, na kształt owalny; podczas kucia żują w ustach kłaki lub konopie na miazgę, następnie wkładają kulę do ust i oblepiają ją tą miazgą. Tę ołowianą kluskę, otoczoną równomiernie miazgą, nabijają do swych puszek. Kazałem sobie nieraz strzelać na pokaz i nigdy nie zauważyłem skośnych uderzeń pocisku. Raz przegrałem zakład z takim gentlemanem, który na 80 kroków przestrzelił mój kapelusz. Samą kulą strzela rzadko który z tych myśliwych, — najczęściej daje na kulę jeszcze lotki. Nie ma wątpliwości, że wiele niedźwiedzi w Europie pada od kul okrągłych*), bo strzelcy nie mogą nabyć lepszej broni. Ile jednakże postrzałków marnie zgnije, o tem milczy historya. Prawie z każdego, z zabitych przezemnie niedźwiedzi, wyjmowałem okrągłe kule, a nie jedna doskonale siedziała. Pod tym względem nie możemy się od myśliwych z natury niczego nauczyć. Niech kto co chce mówi; to jednak kula okrągła jest ze wszystkich najgorszą, a prawdziwy myśliwy używa na grubego zwierza tylko sztućca.

---

*) W Rosyi a czasem i u nas używają myśliwi najlepszych stanów dubeltówek gładkich i okrągłych kul — a tłómaczą to tem, że strzela się z powodu gąszczu tak blisko, że ta broń zupełnie wystarcza (przyp. tłómacza).

Korespondencye.

Batiatycze 19. września 1904.

Czytając Łowca — widzę, że coraz to mniej sprawozdań, ośmielam się zatem przesłać powtórną korespondencyę z powiatu żółkiewskiego — bo pierwsza nie wiem dlaczego, ale uwzględnioną nie została — choć nie zawierała żadnych rebelii. — Otóż pięć długich miesięcy paliło nas słońce, teraz znów mróz i leje. Przynajmniej pojawiło się kilka kszyków i dubeltów na kartoflach. — Ciągną już żórawie i gęsi, zwiastuny zimy — ale mimo to stan kuropatw doskonały, tylko ogromnie prędko latają, zajączków sporo — tylko dużo bardzo małych. Sarny byłyby, gdyby nie złodzieje, co kozy strzelają; z tymi ustawiczna walka zacięta ale cóż może jednostka wobec jakiejś apatyi, jaka u nas panuje. Żandarmerya i u nas robi co możebne, dowodem, że naokół Batiatycz od moich serdecznych odebrano 28 strzelb, ale ich jest jeszcze. Pomimo, że Starostwo wydało możebnie idące pozwolenia ścigania kłusowników, — mnożą się z dniem każdym. Przed kilku dniami zabiłem dużego odyńca — ale już zranionego ocylem od podków śrubowanych, no, domysł łatwy. Plagą straszną są psy chłopskie, ustawicznie się włóczące a każdy chłop czy w nocy czy przy robocie bierze psa, a głodne psiska polują na zajączki i duszą niemiłosiernie.

Zawsze z jakąś nadzieją dowiedzenia się czegoś nowego, dobrego z kraju, chwytam za Łowiec — a tymczasem znachodzę opis polowania na niedźwiedzie w Siedmiogrodzie. Ej, mocny Boże, są tam chwile, o jakich chyba w śnie marzyć mogę, bo proszę, niedźwiedź godzinę ścieli sobie łoże (coś w guście wygodnej otomanki) po obiadku a autor korespondencyi spokojnie patrzy na to. To znów niedźwiedź, mający nieco rozburzoną fryzurę kudłatą, na 20 kroków unika śmierci, bo był nie uczesany.

Są widać jeszcze szczęśliwi na świecie a ja powiem z poetą żałośnie:

Idę ja przez las sosnowy,
W ciszy zachodu, w mgle wrześniowej,
Tam wołają na mnie leśne zdroje,
Gdzie zgubiłeś szczęście swoje!!

Tadeusz Romanowski
Delegat żółkiewski.

Szegdy w październiku.

Niezwykła śmierć rogacza z niezwykłymi rogami. Tegoroczna susza dała się uczuć silnie także i zwierzynie.

Dowodem tego rogacz, który szukając wody a nie mogąc jej nigdzie znaleźć, przyszedł do studni znajdującej się za folwarkiem. Studnia ta już od kilku lat była bez cembryny a będąc blisko lasu, musiała być znaną zwierzynie tem bardziej, ża była na łące, na której sarny nieraz się pasą. Rogacz widząc wodę chciał się napić a straciwszy równowagę, wpadł do studni i utopił się.

Ponieważ rogi tego nieszczęśliwca były bardzo ładne, przeto je odfotografowałem. *A. Czupa.*

Tarnopol, 17. października 1904.

Polowaliśmy u mnie 15. października w 4 strzelby. Las 100 morgów od 1—3 godz. dżdżysto, mokro.

Strzałów 70. 1 rogacz, 5 lisów, 30 zajęcy, 1 słonka, 1 kuropatwa. Rogaczy dużo, słonek tylko 3 widziano.

Z. Mochnacki.

Wydawnictwo gal. Tow. łowieckiego. — Redaktor odpowiedzialny: **Ludwik Józefowicz.**